

## *I słyszał woń nenufarów...*

Napisał: Andrzej Zimniak

Ilustrowała Jolanta Przedziecka

Pewnego dnia, który z pozoru niczym nie różnił się od innych w nieskończonym ich szeregu, Jan zbudził się o bladym świetle rzeźki i wypoczęty. Słyszał wyraźnie, o czym sąsiedzi rozmawiają za ścianą sennymi jeszcze głosami. Po pierwszym zdziwieniu ogarnęła go złość, bo czy naprawdę muszą wydzierać się w taki sposób od samego rana? Ale zdziwienie znów wzięło górę, kiedy dobiegły doń również głosy z dołu i z górnych pięter, nie mówiąc już o chichotach na mansardzie. Skromna kawalerka Jana wypełniła się szmerem wielu rozmów, chrapaniem, tudzież porannym brzękiem filiżanek do kawy. Czuł, a właściwie słyszał życie wszystkich mieszkańców budynku o tej wczesnej godzinie. Co to może, u diabła, znaczyć? Czy ktoś robi mu głupi kawał? A może jakiś szef od badania opinii publicznej pomylił końcówki dając mu do domu odbiornik zamiast nadajnika? Ale Jan, mimo gwałtownych poszukiwań, nie znalazł ani śladów tego typu instalacji.

Tymczasem sytuacja uległa pogorszeniu. W pokoju, a raczej pod czaszką Jana, rozbrzmiewały łagodne głosy amatorów świeżych bułeczek, czekających na otwarcie sklepu za rogiem, a także pełne rubasznnej treści rozmowy taksówkarzy na pobliskim postoju. Prawda

była oczywista i wyłynęła z głębi świadomości Jana niby tłusta plama oliwy na powierzchnię wody: słuch mu się stale poprawiał. Niestety, proces ów nie ustawał.

Nasz bohater okazał się nagle hojny – byłby skłonny scedować natychmiast nadwyżkę czułości swego nazbyt wyostrzonego zmysłu słuchu niedosłyszającym, głuchym, nasłuchowcom – komukolwiek, głowa jego bowiem wypełniała się męczącym szumem. Lecz altruistyczne ciągoty przysły w nieodpowiednim miejscu i czasie, jak to często między ludźmi bywa, i pozostały niezaspokojone.

Skąd się to wszystko wzięło? Wczoraj był w drogerii, mógł więc coś powąchać. A może to przez seanse spirytystyczne, w których ostatnio uczestniczył? Mógł go Bóg pocieszyć lub diabeł nękać (albo odwrotnie) za tę jego wieczną ciekawość wszystkiego, co istnieje i co nie istnieje; zresztą powód zawsze się znajdzie gdy dobrze poszukać. Ale... zaraz! Wczoraj przecież uderzył się o szafkę, aż gwiazdy zatańczyły mu na brudnej ścianie kuchennej. Szansa leży w kuracji wstrząsowej! Nie zwlekając Jan zdjął z półki kilka opasłych tomów encyklopedii w twardej oprawie i wyrznął się nimi w ciemię. Świat mu w oczach pociemniał, a rozmowy wokół też jakby przycichły. Ufff...

Wtem usłyszał, jak jego ciotka Adelajda mówi po angielsku. Właściwie nic w tym dziwnego, wszak już dziesięć lat temu osiadła w Montrealu. W... Montrealu?!!!

Jan przyodział się naprędce i pognął do lekarza. Przed gabinetem laryngologa i neurologa były kolejki, wpadł więc do psychiatry.

- Ja... - zająknął się - słyszę sąsiadów... i innych...

- Wiem! - przerwał mu lekarz przyjacielskim tonem - niech się pan nie martwi. Poradzimy.

- Ale ja ich wszystkich słyszę. Ja słyszę... o wiele za dużo!

- Rozumiem. Czopki... Proszę, oto recepta.

- Do uszu?

- Nie. Normalnie, per rectum. Rano i wieczorem. Zobacz pan, wszystko będzie po pańskiej myśli!

Jan powłókł się do domu i bezzwłocznie zaaplikował sobie lek. Po chwilowym, lekkim podnieceniu, wywołanym zapewne czynnikami pozafarmakologicznymi, odczuł muskanie słabych prądów oplatających delikatną siatką całe ciało. Dziwne drżenie przeniknęło jego członki. Zaraz potem usłyszał monotony szum, w którym wkrótce rozróżnił cały szereg szmerów o różnej wysokości dźwięku i rozmaitym natężeniu, niby odgłos dziesiątków górskich strumyków pod topniejącym wiosennym śniegiem. Był to dźwięk jakby prądu elektrycznego. Nagle usłyszał grzmot, jakby wodospad, przynajmniej formatu Niagary, walił po kuchennej ścianie. To sąsiad, dysponujący nowoczesnym sprzętem domowym, włączył kuchenkę elektryczną.

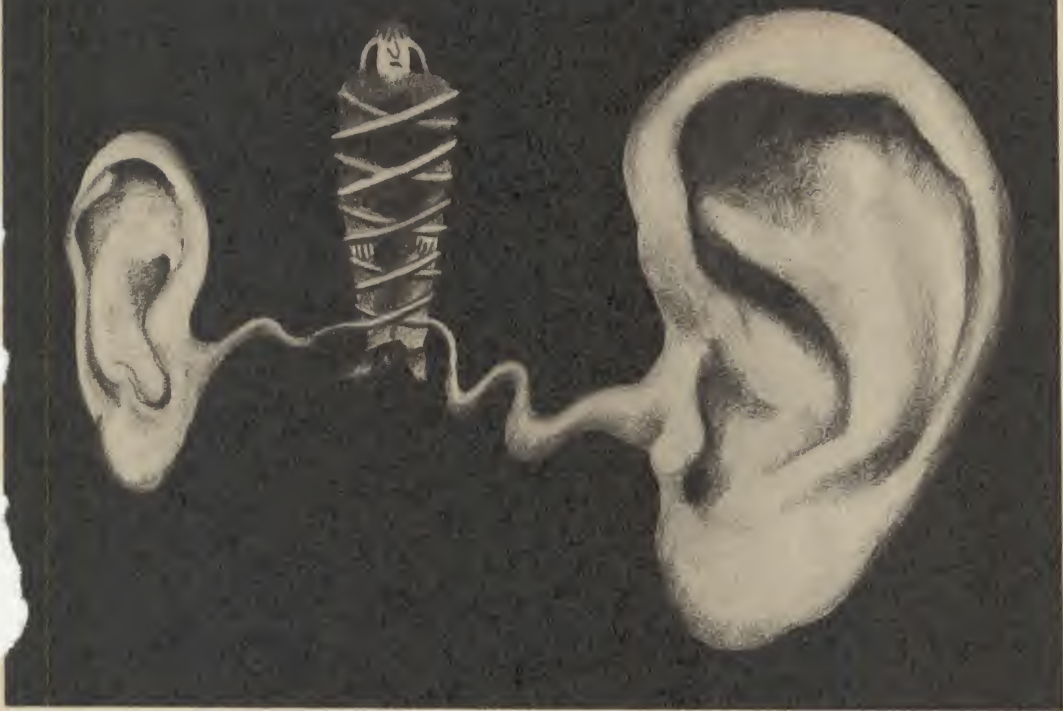
Jan uciekł. Po prostu wybiegł z domu, tak jak stał. Przechadzał się po parkach, ulicach, muzeach, a wszędzie przestrzeń pełna była dziwnych głosów, których pochodzenia w większości przypadków nie mógł ustalić. Był jednak absolutnie przekonany, że słyszał basowy krzyk drzew, którym przycinano gałęzie, że woń lilii wodnych i nenufarów miała przyjemny, ciepły dźwięk i że błękit nieba był nieznośnie piskliwy, natomiast czerwony blask zachodu słońca stanowił prawdziwie kojącą symfonię.

Jan zmęczył się tym wszystkim, lecz obawiał się powrotu do domu ze względu na elektrotechniczny sprzęt, idącego z duchem czasu, sąsiada. Wstąpił więc do znajomego.

Ten wytrzeszczył nań oczy i zaraz na początku niesłychanej opowieści postawił wódkę, co stanowiło, jego zdaniem, wyjście z każdej sytuacji. Spirytus mieszał się z wodą z tak przenikliwym świstem, że Jan odruchowo zakrył uszy dłońmi; ulgi to jednak nie dało. Gdy wreszcie przykry odgłos ustał, napój był gotowy. Po pierwszym kieliszku poczuł błogie odprężenie. Złowrogie, napierające zewsząd dźwięki jakby cofnęły się nieco, przycichły. Lecz po drugiej kolejce Jan stwierdził, że jego kumpel... trzeszczy, trzeszczy jak stare krzesło, na którym bezustannie bują się niesforny dzieciak. Ów dźwięk to przycichał, to wzrósł, gał się niespodzianie i tak trwał, ciągły i charakterystyczny. Jego sąsiadka z pierwszego piętra, mająca bujne kształty, a w domu kilkanaście kanarków, wydawała zajądłe terkotanie, natomiast stróż z sutereny, człek o podejrzanej fizjonomii, szemrał niby brudna woda w zanieczyszczonym środowisku naturalnym. Wszystkich tych dźwięków nie można było pomylić lub zamienić, a mówiły Janowi o swoich właścicielach więcej niż linie papilarne odcisku palca specjalistom od spraw kryminalnych. Jan z przestachem począł wsłuchiwać się w siebie. Ale wyczuł tylko bulgotanie. Był głodny.

Ponieważ kolega nie spieszył się z poczęstunkiem, udał się do narożnej knajpki. W czasie, kiedy spożywał zupę, bufetowa wydawała przenikliwy pisk niby stary, zużyty wagon kolejowy, a siedząca nie opodal rozłożysta dziewczyna zanosila się nieprzerwanym wewnętrznym chichotem, żywo przypominającym śmiech hieny w nocy. Jan nie skończył posiłku i spiesznie oddał się. Na ulicy wszystkie dziewczyny spośród tych, które kłaskały jak słowiki, miały pewną siebie asystę, przeto bliższe badanie owych dosyć rzadkich fenomenów okazało się bezcelowe.

Jan, noszący w sobie mniemanie, że jest niewierzący, gdy zobaczył ciemną bryłę kościoła, grzmiącą dostojną powagą na tle cie-



plych dźwięków wieczornej zorzy, poczuł nieodpartą chęć spojrzenia w głąb własnej duszy pod osłoną szacownych murów. Wszedł. Niezdarnie rozpoczął modlitwę, lecz zaraz otoczyły go jakieś szepty, przytłumione głosy, piski... Myśli rozbiegały się, to znów schodziły jakby dziesiątkami poplątanych ścieżek. W głowie miał chaos. Przestraszony wybiegł na dwór. Słyszał myśli innych ludzi! Tam, w kościele, były nabożne, uduchowione i trochę niesamowite, otaczały Jana jak duchy i zjawy nie z tej Ziemi (może rzeczywiście były to duchy?). Na ulicy natomiast nasz bohater czerwienił się i bladł na przemian, wstydził się i ogarniało go przerażenie, gdy przeciskał się przez dystyngowany wieczorny tłum, a w uszach brzmiały mu nagie, nieskrępowane rozmyślenia przechodniów.

Jan posuwał się coraz dalej, pędził niby meteor, który nie może się już zatrzymać. Wiedział, że jego zmysł słuchu osiąga nieosiągalne, bał się jakiejś bariery, której bliskość wyczuwał. Przemknął przez niesamowite szepty podświadomości i osiągnął na koniec kres swojej wędrówki – dotarł do siedliska duszy.

I otoczyła go cisza, albowiem dalekie tło odgłosów świata zanikło w tym sanktuarium. Wtem – zagrzmiął karcący Głos, w którym jednakże pobrzmiwały nutki zdziwienia wobec bezczelności śmiałka:

– Człowieku, który nabrałeś niecej chęci podsłuchiwania, czy dociera do ciebie moje słowo w ciemnej otchłani twojego istnienia? Ty, co mącisz mi spokój, abys zrozumiał, powiem ci, używając dostępnych ci pojęć, że jesteś teraz niby zwierz, zanieczyszczający własną czystą źrenicę! Precz z powrotem, do siebie!

I nagle Janowi wydało się, że spada przez kolejne przestrzenie, z których każdą wypełniają inne, dziwne dźwięki, a jego lot jest coraz szybszy, prędkość staje się zawrotna, że przebija za każdym razem z głuchym łomotem membranę jakiegoś gigantycznego bębna, aż wreszcie... ogłuchł zupełnie. Widocznie szybciej niż inni wyczerpał swój życiowy przydział wrażeń dla zmysłu słuchu.

Po latach opowiadał wnukom, że w dawnych, dawnych czasach swej młodości miał tak dobry słuch, że słyszał nawet upajający zapach nenufarów i lilii wodnych...